

Szczoteczka, szczotka, buty... Aaaa! Ty głupia pindo, skarpetki! Ta szczoteczka to chyba tylko po to, żeby nie waliło ci z japy starym mokrym ręcznikiem, a buty masz uwalone, jakbyś wróciła z kopalni błota. I gdzieś piznęła ten telefon? Pod łóżko? Jak?! Dwie minuty. Noszkurwa, gdzie jest twoja kurtka, stara...

Mili Państwo, Anna nie wiedziała, dlaczego nagle stanęła jak wryta, mimo, iż czas na stawanie jak wryta był cokolwiek nieodpowiedni. Ja wiedziałem. Otóż nawyzywawszy się w myślach od pind, cip, głupich kurew i zaszranich nieodpowiedzialnych starych burdelmam, zwyczajnie nie miała pomysłu, jak nazwać się w następnej kolejności. Zawisła więc na dziesięć sekund – jest to czas, kiedy następuje niewielkie zwarcie w pamięci krótkotrwałej, uniemożliwiające człowiekowi określenie, czego właściwie szuka – i to właśnie dziesięć sekund okazało się być decydujące dla całej jej przyszłości, lub też, może właściwiej ująć to tymi słowy, jej braku.

Minuta. Cholera! W swetrze pójdziesz? W swetrze do roboty polecisz? Wariatko!

Po czym wyleciała po schodach. Słowo „wariatka” okazało się być brakującym, pamięć krótkotrwała raczyła przeskoczyć na inne, bardziej istotne połączenia, dwie minuty okazały się być minutą, pamięć długotrwała zaś – największa człowiecza duma i przekleństwo – puściła sygnał, iż piętra są cztery, windy nie ma, po schodach należy zbiec, przez drzwi wypaść, a przez ulicę przelecieć. W tej sytuacji Annę mogłyby uratować dwie rzeczy. Primo, pamięć o tym, iż nawet biegnąc należy spojrzeć w lewo, czy aby na pewno nic nie jedzie. Secundo, brak wspomnianego wcześniej zawieszenia; gdyby bowiem Anna sprintowała przez ulicę dziesięć sekund wcześniej, zdążyłaby o mały włos, a tak, jak pewnie się Państwo domyślcie, nie zdążyła wcale.

Zagrożenie, trąbienie, próba uskoku, za późno, nic.

O. O, proszę. Przepraszam bardzo, że opowiadam tę historię, jakby to powiedzieć, od dupy strony. Usprawiedliwiam się tym, że wszystko wydarzyło się niezwykle szybko, jak to śmierć; ze wszystkich rzeczy, które znam, tylko życie wydarza się wolno. Jest to incydent istotny, ponieważ obarczono mnie za niego winą. Że „diabeł zesłał tego kierowcę”; że „niech to wszystko diabli wezmą”; że „do diabła ze wszystkimi pierdolonymi kierowcami, słyszałeś pan, co się stało z sąsiadką spod czwórki?” Wypraszam sobie, krew mnie zalewa, bo żona autora tego ostatniego uważała również, że to przeze mnie autor jest pijany. Jak świat stary i głupi, jeszcze nikt nie widział diabła wpychającego pianistkę pod opla corsę albo wciskającego przedstawicielowi klasy niższej butelkę wina za trzy dziewięćdziesiąt w roztrzęsioną dłoń. Przecież nawet zdanie opisujące taką sytuację wygląda cokolwiek absurdalnie; gdzie to, żeby diabeł wy czyniał takie głupoty, po co? Mili Państwo, wielu chrześcijan chciałoby mieć prywatnego Pana Boga, żeby czuwał, żeby wszystko co dobre, było Jego, a niech tylko coś się schrzani, niech się Schultz spod dziewiątki uchleje i niech Witkowska pod opla corsę wpadnie, i już ja, i już moja wina. Gdzie tu jest moja wina, panie Schultz, no gdzie? Pan żeś się uchlał, boś Pan nie zauważył, że nie żyje, gdybyś Pan żył, to byś Pan nie chlał, a co ja mam z tym, przepraszam, wspólnego. I się zbulwersowałem. Proszę mi wybaczyć, Mili Państwo. Bowiem historia, którą opowiadam, w ogóle tych dwojga nie dotyczy.

*

Szedłem, mówiąc kolokwialnie, się przejść. Po co, po co; a po co Państwo chodźcie się przejść; jak świat stary i głupi, jeszcze nikt nie powiedział, że diabłu nie wolno chodzić, a gdyby powiedział, i tak bym

idioty nie posłuchał. Mogłem, przyznaję, wyglądać między tymi blokami jak intruz. Byłem co prawda ubrany nienagannie, co samo w sobie nie wzbudziłoby może niczyich podejrzeń, ale nie w tym rzecz: otóż zapomniałem o pewnym szczególe. W stronach, z których pochodzę, zimno nie jest zbyt dobrze znanym zjawiskiem, toteż szedłem bez płaszcza. Nie miałem płaszcza. Skąd, do diabła, miałbym mieć płaszcz? I nic by się w gruncie rzeczy nie stało, gdyby na dworze było nieco więcej niż minus siedem stopni. Za późno zorientowałem się, że wyglądam cokolwiek nietypowo jak na taką pogodę, tym bardziej, że oczywiście nie odczuwałem chłodu, bo i dlaczego miałbym odczuwać? Mili Państwo, proszę sobie wyobrazić, że idziecie przed siebie uliczką, zasypaną śniegiem, nie puszczacie pary z ust, ręce macie założone za plecami, raczej nie jak ktoś, kto powinien właśnie zamarzać, wokół was obsypane białością samochody, w tym opel corsa, zaśnieżony o wiele bardziej niż pozostałe auta, ponieważ jego właściciel kilka dni temu stracił prawo jazdy, a o jego przyszłość toczyła się sprawa w sądzie. Mijacie Państwo ławeczkę, która wręcz przeciwnie, po swojej lewej stronie zasypana jest mniej niż po prawej, ponieważ ktoś niedawno jeszcze ogrzewał ją dupą, idziecie, nie chuchacie Państwo wcale, zimna Państwo nie czujecie, a z prawej – nagle – wychodzą kobieta i dziecko. Dziecko lat siedem, wyczułem od razu.

Potraktowałem je zrazu tak, jak młodzieniec na ciężkim haju z gramem zioła w kieszeni traktuje przypadkowy patrol policyjny. Być może należy się słowo wyjaśnienia. Nie znoszę napotykać na swojej drodze dzieci. Na oczywistość zakrawa fakt, iż dzieci wyczuwają mnie, jakby nosiły w portkach radary na diabelstwo. Kobięcina owszem, spojrzała na mnie jak na idiotę, ale specjalnie mi to nie wadziło; wiedziałem, że sama ma iloraz inteligencji wynoszący osiemdziesiąt siedem, o czym z kolei nie wiedziała ona. Chłopiec natomiast stanął jak prądem rażony, a jego matka przeszła cztery kroki, zanim się zorientowała, że w prawej dłoni trzyma czerwoną dziecięcą rękawiczkę.

- Horacy! – piszczy, bo nagle zamiast idioty zaczęła widzieć we mnie pedofila. Nie było sensu tłumaczyć jej, iż chłopiec w najmniejszym stopniu nie interesuje mnie seksualnie, i to nie tylko dlatego, że imię Horacy kojarzy mi się z koniem. Chłopiec natomiast stał i w dalszym ciągu wpatrywał się we mnie, wcale nie ze zgrozą, lecz z rodzajem ciekawości malującym się na twarzach ludzi widzących w zoo na przykład łysą małpę. Gdyby miał lizaka, toby go teraz bezmyślnie lizał, ale nie miał, więc gapił się tylko. A matka znowu:

- Horaacyyyy! Chodź tutaj natychmiast! – zerkając na mnie ukradkiem, jakby zerkanie z boku gwarantowało moją o zerkaniu niewiedzę.

- Ale dlaczego?

- Bo ja tak mówię!

- Ale...

- Nie zaczepiaj pana!

- Ale patrz, mamó, ten pan to diabeł!

Na te słowa wystraszyła się nie na żarty, oczywiście nie dlatego, że uznała je za prawdziwe, na to była stanowczo za głupia. Przeraziła się, ponieważ jej dziecko zachowało się w sposób społecznie nieakceptowalny, pał sześć z nim, ale ją samą mogłoby to narazić na ostracyzm społeczny, skoro nie umiała właściwie go wytresować. Cofnęła się, nadal zerkając na mnie ukradkiem, chwyciła chłopca za poczerwieniałe już z zimna palce i zaczęła ciągnąć. Chłopiec potraktował ją jak powietrze, i niemądrze, bo ona o

tym nie wiedziała, a nadal go ciągnęła, w związku z czym wyslizgnął się jej i fajtnął. Podniósł się jak gdyby nigdy nic, otrzepał, matka poprawiła otrzepanie, naciągnął na uszy czapkę, matka poprawiła naciągnięcie, spojrzął, matka spojrzała, i proszę, znalazł się winny.

- I co pan, co pan narobił!

- Ja? Co ja, co ja!

- Dziecko mi pan wyrócił, panie... – poszukała słowa, nie znalazła go, zrezygnowała i jeszcze bardziej się wściekła. – Na śnieg mi pan dziecko wywalił!

- Sam się wywaliłem! – na to, rzecz jasna, chłopiec.

- Cicho bądź! – matka do dziecka.

- Proszę pana, czy pan jest diabeł? – dziecko do mnie.

- Nie! – skłamałem beczelnie, bez sensu zresztą, bo przecież widać, że diabeł jak malowany.

- Oczywiście, że nie diabeł, chodź, Horacy, idziemy do domu... – matka do chłopca.

- Ale mieliśmy iść do sklepu! – chłopiec do matki.

- Ale nie idziemy, bo ten pan na ciebie źle działa – matka do chłopca, no jakby mnie nie było.

- Przepraszam bardzo, co mi pani insynuuje, idę sobie spokojnie, nikomu nie wadzę, a pani...

- Mamo, mamo, patrz, ten pan nie robi śladów!

Niech to diabli! Zapomniałem o śladach! Co mnie uratowało? Głupota matki. Proszę spojrzeć, jakie wyciągnęła wnioski. Najpierw wnioski. Potem palec. Potem głos.

- Wariat! Ludzie drodzy! Świr! Zboczeniec! Horacy! Idziemy do domu! Jeeezu, zarżnie nas!

Wzięła chłopca na ręce, sapnęła i zaczęła biec. Dobrze, że żaden ze mnie pedofil i gwałcieciel, bo gdybym nie był diabłem i nie zdawał sobie z tego sprawy wcześniej, właśnie bym się zorientował, gdzie mieszka. Wściekłem się; brzydko z mojej strony, nie wiem, co mnie podkuśiło, a w przeciwieństwie do istot ludzkich nie mogłem powiedzieć, że diabeł.

- Nikt pani nie zarżnie, kretynko! – zawołałem za nią, chociaż chyba mnie nie słyszała. – umrze Pani na zawał w dwa tysiące dwudziestym siódmym!

Nasunąłem na czoło kapelusz, spojrzałem w tył, zrobiłem za sobą ślady na wszelki wypadek i poszedłem dalej. Chwilę się zamyślić i już dzieciaka nie dojrzyć, diabli, diabli by to...

I na tym pewnie skończyłaby się cała ta farsa; matka zapomniałaby o mnie jeszcze po południu tego samego dnia, chłopiec zaś z chwilą, w której by dojrzał. Tyle tylko, że ja się zdenerwowałem i w związku z tym zachowałem głupio. Mili Państwo, zaznaczam ten fakt, ponieważ mowa o okoliczności, nie o cesze, jak świat stary i głupi, nikt jeszcze nie widział głupiego diabła. Jak wiadomo, każdy się czegoś boi, wy-

jąwszy może ludzi mających za sobą ciężką traumę i tych dotkniętych mikrouszkodzeniami w ośrodkowym układzie nerwowym. Trauma jest mi obca, mikrouszkodzeń nie mam, więc boję się. Boję się demaskacji. I nie ma co zbyt długo zastanawiać się, dlaczego, przyczyna jest prosta. Gdybym został publicznie ujawniony, zaczęłyby się prześladowania, pochody, ustawianie zraszaczy z wodą święconą, zamurowywanie krzyżyków w chodnikach i inne tego typu bolesne dla mnie w skutkach praktyki. A strach pomyśleć, ilu kryminalistów uniknęłoby kary, gdyby mogli oświadczyć, iż działali pod moim przewodnictwem! Do diabła! A sataniści? Zaczęliby mnie śledzić, prosić o autograf, bić pokłony, kiedy idę chodnikiem, śpiewać pod moim oknem durne piosenki...

A później wyjaśnię, gdzie rezyduję, nie czas na to i miejsce, Mili Państwo. Zacznę od tego, co robię, by uniknąć prześladowania. Rzecz jest prosta. Aby uniknąć, należy unikać. Mam specjalną listę, bardzo krótką, bez żadnego problemu mogę ją teraz ujawnić.

Mili Państwo, otóż ze względów bezpieczeństwa unikam ludzi następujących:

- będących pod wpływem alkoholu;
- będących pod wpływem innych narkotyków;
- chorych na schizofrenię oraz zaburzenia lękowe objawiające się między innymi halucynacjami;
- fanatyków religijnych, mających halucynacje w związku z fanatyzmem;
- egzorcystów;
- dzieci do lat siedemnastu.

Można by pomyśleć, że to zbytek ostrożności, skoro jak na dłoni widać, iż relacji osób należących do grup wyżej wymienionych pozostała część społeczeństwa nie bierze poważnie, może z wyjątkiem egzorcystów, którzy w niektórych kręgach stoją w hierarchii wyżej niż wyroki sądów cywilnych. I słusznie się Państwo domyślicie, właśnie o egzorcystów chodzi. Otóż nigdy z całą pewnością nie można stwierdzić, czy ktoś z powyższych nie wybierze się ni stąd ni zowąd do egzorcysty; nie wiem takich rzeczy, jak świat stary i głupi, nikt jeszcze nie słyszał o diable, który przewiduje przyszłość. Gdyby diabeł przewidywał przyszłość, nie zostałby przecież diabłem. Mniejsza, Mili Państwo, mniejsza. Wróćmy do chłopca. Bo, jak łatwo się domyślić, to chłopiec mnie zdenerwował, nie matka. Jak świat stary i głupi, nikt jeszcze nie słyszał, aby diabeł zdenerwował się z powodu idiotki, która przypadkiem jest matką. Chciałbym wmawiać sobie, iż chłopiec wyprowadził mnie z równowagi wyłącznie dlatego, że z jego powodu groziła mi demaskacja. Niestety, nie mogę tego uczynić, ponieważ jedyną moją obawą jest strach przed wykryciem, a z tego powodu mechanizmy obronne chroniące moją dumę są mi niepotrzebne. Ktoś tam na górze, nie chcę pokazywać paluchem, okazał się niezwykle oszczędny przy tworzeniu mojej istoty. Pewnie z tej przyczyny, iż nikogo tam na górze nie interesuje kondycja mojej dumy. Chłopiec zaś zdenerwował mnie dlatego, że utarł mi nosa; przydybał mnie na braku kompetencji; złapał mnie za rękę, a ja nie lubię, kiedy łapią mnie za rękę siedmiolatki. Nikt, jak świat stary i głupi, nie słyszał o diable, który lubi być łapany za rękę przez siedmiolatków.

O, poczekaj, zarozumiała istoto cechująca się umysłem otwartym na zjawiska paranormalne. Ja ci diabła pokażę. Ja ci pokażę.

A potem co, a potem co, przemknęło mi przez myśl, bo faktycznie, co? A jeśli do kościoła pójdzie? A jeśli, niech to diabli, po egzorcystę pośle? A jeśli ma w domu wodę święconą z kolędy, jeśli nią we mnie rzuci? Gdybym planował podobne zagranie na jakimś innym dziecku, nawet wobec kardynalnego naruszenia zasad nie obawiałbym się w takim stopniu. Największe niebezpieczeństwo w tym, iż Horacy, który odtąd miał być moim wrogiem, cechował się nie tylko umysłem otwartym, lecz również wiedzą. Pewnością. Jeśli dziecko raz stanie się czegoś pewne, uczucie to staje się silniejsze niż wszelka wątpliwość i nawet, jeżeli dorośnie i spróbuje ową pewność zatrzeć, jej nikły płomyk w dalszym ciągu będzie tlił się pod jego kopułą. Horacy wiedział, że jestem diabeł. Miał w tej kwestii więcej niż znaczącą przewagę. Co robić. Co robić? Pomyślałem chwilę. Jeśli interesują Państwa dane dokładne, myślałem przez siedem i sześć dziesiątych sekundy. Ruszyłem do domu się przygotować. Ja ci dam ślady, dzieciaku. Ja ci dam takie ślady, że nawet pranie mózgu ich nie zatrze.

*

I teraz, Mili Państwo, mamy chwilę oddechu; w tej chwili jest godzina jedenasta siedemnaście przed południem, moje ruchy, jeśli tego zapragnę, mogą być dokładnie trzy i pół raza szybsze niż ludzkie, posiadam zdolność teleportacji w miejsca, w których byłem już wcześniej, i – rzecz ważna – zgodnie z tradycją każdą akcję nastraszającą rozpoczynam punkt trzecia w nocy. W związku z tym pozwolą Państwo, że oprowadzę po mieszkaniu.

Proszę nie brać pod uwagę zdania idiotów, którzy sądzą, iż diabeł mieszkania nie potrzebuje. Nie jestem, Mili Państwo, bez przerwy w pracy; wbrew powszechnemu przekonaniu ludzie doskonale radzą sobie z czynieniem zła beze mnie. Można by zapytać, po co wobec tego istnieję. A Państwo? Po co Państwo istnieją? Nie wiedzą Państwo? I ja nie wiem. Czemu miałbym wiedzieć? Jak świat stary i głupi, nikt nie słyszał o diable, który wie, po co istnieje.

Za moją pracę nie otrzymuję wynagrodzenia. Nie porzucam jej jednak; po pierwsze, nie miałbym wówczas co ze sobą zrobić, ponieważ nie potrafię tworzyć nic związanego ze sztuką, nie jestem programistą, marketing mnie brzydzi, nie ma co wymieniać, krócej powiem po prostu: nie umiem wykonywać żadnego zawodu, który można wykonywać w domu. Nie mogę zaś wykonywać pracy innej. Jeśli znajdują się wśród Państwa miłośnicy literatury klasycznej, proszę teraz tych z Państwa, aby przypomnieli sobie powieść „Mistrz i Małgorzata” autorstwa Michaiła Bułhakowa. Opisuje ona doskonale, co dzieje się, gdy diabeł zaczyna zbyt często kręcić się po ulicach. Traktuję to dzieło nie tylko jako źródło przyjemności i dumy, lecz również jako przestrożę. Skąd zatem biorę pieniądze? Wiadomo, jeść nie muszę, fiskus mnie nie odwiedza, ale meble kosztują! Proszę się nie śmiać, ale... Zbieram złotówki, które wpadły do krat ściekowych. Podbieram drobne, które wypadają młodzieńcom na ciężkim haju z kieszeni. Podjudzam sklepikarki, aby pytały, czy mogą być winne grosika, nawet, jeśli mają pełną kasę, po czym wyciągam nadwyżkę, kiedy się odwracają. Nie wyobrażają sobie Państwo, ile można w ten sposób zarobić, poza tym trzeba przyznać, że chociaż nie lubię mówić o swoim wieku, miałem na to wszystko bardzo dużo czasu. To prawda, że kiedyś powodziło mi się lepiej; na przykład w siedemnastym wieku niektórzy kretyńscy rzucali pieniędzmi w biedaków. O nie nie, biedakom nigdy niczego nie zabrałem, ale bywało, że faktycznie coś utknęło w kanałach. Ja się nie brudzę. To ludzie się brudzą.

Wobec tego pracuję jedynie po sześć godzin dziennie (a częściej nocnie), celem zachowania kondycji i dobrego samopoczucia z dobrze (czy też raczej: źle) wykonanego zadania. Zadania stawiam sobie sam. Nikt nie wydaje mi poleceń. Jest mi przykro z tego powodu, bowiem czuję, iż nikt nie interesuje się moją osobą, nie jest to jednak czas i miejsce na tego typu żale; zapraszam, Mili Państwo, zapraszam!

Jak Państwo zapewne się orientują, znajdujemy się nieopodal parku jasnogórskiego. Uściślając, park jasnogórski to te drzewa po lewej, dodawszy zawartość wokół nich. Jeśli odwróci Państwo głowy, zobaczą Państwo Jasną Górę; ulica, przy której stoimy, to ulica 3-go Maja. Proszę odwrócić się tyłem do parku i odliczyć do pięciu.

I proszę! Do diabła. Nawet nie zauważyli Państwo własnej pomyłki. Raz, dwa, trzy, pięć, a gdzie cztery? Właśnie. Oczywiście, wiem, że przed chwilą był i czwarty budynek. Proszę spróbować jeszcze raz. Zgadza się?

Skromna sztuczka, moim zdaniem genialna. Kto miałby liczyć budynki na ulicy 3-go Maja, i dlaczego miałby się dziwić, gdyby raz wyszedł mu inny rachunek niż poprzednio? Cóż, przynajmniej w jednej kwestii Kartezjusz się nie mylił; rzeczywiście istnieje demon – zwodziciel. Ha, ha, ha. Zapraszam. Wiem, z zewnątrz wygląda obskurnie, ale przyznają Państwo, że pałac pojawiający się na ulicy 3-go Maja dwa razy dziennie, po to tylko, aby potem zniknąć, mógłby w końcu wzbudzić zainteresowanie. Poza tym, mógłbym otwierając go zrobić krzywdę sąsiadom. Ten... Hmm... Jak by to określić... Portal? Nie podobają mi się, ale trudno; ten portal jest na tyle wąski, a ulica na tyle długa, że mieszkańcy nie odczuwają zbyt wielkiej różnicy, poza tym, że co jakiś czas wydają się sami sobie szczuplejsi niż są w rzeczywistości. Nic niebezpiecznego, zwykle przypisują tę zasługę na przykład chodzeniu na basen. Widzą Państwo? Co złego to ja, a co dobrego – Bóg albo basen...

Proszę! Proszę! I nie „oooooo...”, nie „aaaaaa...”, „jaaaa cięęę...” i „Krzysiu, widziałeś, kurwa, jaka chata”. Proszę mnie nie obrażać, gdybym mieszkał w stodole, jak w wieku... Hmm... Bodajże czternastym, nigdy bym Państwa nie zaprosił do domu. To były czasy! Tak, wtedy trzeba było uważać. Aż szkoda mi było tych dziewczyn. Nigdy nie zaglądałem do najbiedniejszych chłopów, ci mieszkali z kozami, nie było gdzie się schować, ale właściciele miejscy mieli stodoły. Szopy. Proszę mi wybaczyć; właściwie należałoby te budynki nazwać spichlerzami. Szukali diabła w dziewczynach, a nikt nie wpadł na to, żeby szukać w spichlerzach. No cóż, to twierdzenie leży blisko powodu, dla którego mieszkam właśnie w okolicy Jasnej Góry; najciemniej jest pod latarnią, zgodzą się Państwo?

Trochę mi wstyd. Widzą Państwo? Pocieram dłonie. Jak Poncjusz Piłat. Ach, to był zły człowiek, do prawdy, proszę mi wierzyć, mało co wyrządza większe szkody niż tchórzostwo. Znałem dziewczynkę, która bała się samej siebie do tego stopnia, że aż oszalała i trzeba ją było leczyć. E, nic poważnego, nieco przerośnięte superego. Pomogłem jej trochę, nawet zdała maturę. Potem przestała we mnie wierzyć i musiałem sobie pójść. Tak. Dlaczego się wstydzę? Och, co z Państwa za ignoranci! Przepraszam, przepraszam, już tłumaczę. Widzą Państwo? Wiem, jest ciemno, nie przepadam za dużą ilością światła, tych kilka świeczek mi wystarcza. Widzę w ciemnościach. Oczywiście, że widzę, państwo też, tylko słabiej. Na ścianie po prawej stronie, między porożem a repliką „Damy z łasiczką”, wisi oryginalny Canaletto. Tak. „Król Stanisław August ogląda Zamek Warszawski po pożarze w roku 1765”. Interesujący, prawda? Stary dobry Bernardo. Pod nim widzą Państwo rycinę, również czarno - białą. Albrecht Dürer, "Leżąca lwica". O, o, o! To mój ulubiony. Tu. Już Państwu świecę. Anton van Dyck, "Ecce Homo". I nie, proszę mnie nie posądzać o żadne świętokradztwo, nie dlatego się uśmiecham; po prostu... Proszę mi wierzyć, Jezus zupełnie nie wyglądał w ten sposób. Nie był nawet podobny.

Ależ jak ja się zachowuję? Na pewno jest Państwu zimno. Przepraszam za to, nigdy nie miewam gości. Proszę, proszę dalej. Ojej, mam nadzieję, że nie zamierzają Państwo nikogo informować, że jestem w posiadaniu zaginionych dzieł sztuki! Zapłakałbym się na śmierć! Poza tym, nie wypada grozić gościom we własnym domu, ale proszę sobie wyobrazić, jak by to wyglądało, ponadto – przepraszam, czegoście się

Państwo najedli przed spaniem, że w ogóle udało się Państwu znaleźć w diablím domu? Ależ proszę siadać. Niestety, krzesła są tylko trzy; chciałem zachować symetrię, jestem, przyznaję nieco wstydlíwie a nieco z dumą, obrzydliwie pedantyczny. Może właściwiej byłoby przyznać, iż cechuje mnie niezwykła konsekwentność. Na przykład: wszystkie obrazy, które... hm... ukradłem (państwo by powiedzieli, że państwo znaleźli, przechowują, uratowali, et caetera, ale ja tych mechanizmów, jak wspomniałem, nie posiadam), zaginęły po II wojnie światowej. O nie nie, proszę nie dotykać imbryka; nie dlatego, że obawiam się, że Pani zbije, tylko... Och. Właściwie dlatego. Chciałem powiedzieć, że substancja w środku jest żrąca, gdyby się Pani napiła, przepaliłaby Pani trzewia, ale cóż – śmierć to śmierć, znaleziono by Panią na-
zajutrz w wannie, a w rubryce „bezpośrednia przyczyna śmierci” wpisano by „połknięcie granulatu marki Kret”. Nie wiem czemu trafiają do mnie wszyscy samobójcy. Denerwuje mnie to, tym bardziej, że tłumaczę im, żeby przestali, do diabła, a oni...

Jak Państwo widzą, pomieszczenie jest niewielkie, ale przytulne. Kot? Ma na imię Mozart. Straszny pies na baby, jak to mówią. Hmmm... Pies. To nie było mądre. To ze zdenerwowania. Niestety nie jestem zbyt obyty towarzysko. Dużo czytam, jestem, skromnie przyznaję, dość zorientowany w sztuce, ale żaden ze mnie wirtuoz konwenansów. Gdyby dać mi szansę, może by się to zmieniło. Już państwo wychodzą? Ach, tak. Zapomniałem.

Dzień się kończy. Ci po nocnej zmianie wstają właśnie z łózek. Mieli kretyński sen.

No i zostałem sam. Dlaczego nigdy nie rozmawiają ze mną ci z dziennej? Och. Jak świat stary i głupi, jeszcze nikt nie widział diabła, który wiedziałby, dlaczego nigdy nie rozmawiają z nim ci z dziennej. Niech to diabli, nadal jestem wściekły, nie dość, że prawie w niczym nie jestem dobry, to jeszcze ten siedmiolatek... Czekaj, czekaj, ja ci pokażę, istota z perspektywami pracy ty...

Klasnąłem w dłonie trzy razy. Tak naprawdę wystarczyło raz, pozostałe dwa były gwoli dramatyzmu. Efekt był taki, że lustro się pojawiło, zniknęło i znowu pojawiło; można oszaleć. Jak wyglądam? Nikogo tu nie ma, można ze smutkiem przyznać, dlaczego świece są tylko w przedpokoju. Nie rzucam cienia. Mam z tej przyczyny kompleksy. O ileż łatwiej byłoby wykonywać pracę, gdyby móc ostrzegać złowieszczym cieniem... Nie to, żebym był pracoholikiem. Naprawdę nim nie jestem, przypominam, że zaprzeczanie i wyparcie nie jest mi dane. Po prostu niewiele mam poza pracą. Jak wyglądam? Co zrobić? Przyprawić sobie rogi? A fu. To wyszło z mody. I brzydko się ostatnimi czasy kojarzy. Jakbym ja miał coś wspólnego z ludzkim brakiem kontroli nad gospodarką hormonalną. Mógłbym wystylizować się na Wolanda, ale byłby to ohydny plagiat, poza tym siedmiolatek nie ma żadnych powodów, aby obawiać się cudzoziemców.

Godzina dwunasta zero siedem. Raz, dwa, trzy. Gdzie mój pentagram? O, tutaj. Nie wiem, po co trzymam to diabelstwo, do niczego się nie przydaje, zresztą historię ma zupełnie niezwiązaną z moim fachem, a gdyby wolnomularze nie byli tak samolubni, wszyscy wiedzieliby, że...

- Miau...

Nie do końca tak to zabrzmiało, ale nie potrafię wymyślić stosowniejszej onomatopei.

- Co. Nakarmiłem cię. Miałeś zapolować. I nie gołębie, co gołębie, gołębie się nie liczą, co to za zły uczynek, zabić gołębia. Zapolowałbyś... Nie wiem. Na czyjegoś chomika. Albo na królika. Pani kilka domów obok ma królika. Królicę. Wabi się Fela. Królica, nie pani, nie patrz na mnie, jakbym oszalał. Spróbuj zapolować na Felę, to zobaczysz kres żywota, Mozarcie. Ja znam tę panią. Ona nienawidzi ko-

tów. Skonałbyś bolesną i powolną śmiercią. Nie śliń się. Zostań tutaj. Ja się boję. Raz widziałem, jak potraktowała pielgrzymkę. Jak wyskoczyła na balkon... Nie, nie krzyczała, rzadko krzyczy. Nie musiała. Wyglądała jak Nemezis.

- Miau.

- Oczywiście, że jest. I to jeszcze jak. Nie bądź niemądry, pokazywałem ci Nemezis, wiesz, jaka była piękna. A co cię to interesuje? Żadnego z ciebie pożytku. Przynieś mi maszynkę. Potrafisz przecież przynosić maszynkę. Nie będę się stylizował, wiesz; ten dzieciak mnie pamięta. Ogołę się tylko. I per... Co? Nie. Żadnych perfum. Psikać się perfumami na straszenie dzieciaka, też mi pomyśl... Ech, diabli, co ja mam dzisiaj z głową...

- Miau.

- No chyba ty.

*

Jak wspomniałem wcześniej, mogę teleportować się w miejsce, w którym byłem już wcześniej. I nigdzie indziej. W związku z czym teleportowałem się na klatkę.

Godzina: druga piętnaście.

I tutaj pojawił się problem. Mili Państwo. Co z tego, że nikogo tu nie ma, lubię to powtarzać. Zresztą, czemu mam tego nie robić? Nikt mnie przecież nie słucha.

Problem. Otóż, Mili Państwo, nie potrafię latać. Nie potrafię również przemykać przez ściany. A klatka zamknięta. Ależ sposób jest. Bez obaw, Mili Państwo.

Klasnąłem w dłonie; pod moją marynarką pojawiło się niewielkie wybrzuszenie. Przeszedłem powoli, jak gdyby nigdy nic. Usiadłem na ławce. Tym razem nie była pusta. Czułem, że to naruszenie zasad, że sam się proszę o kłopoty. A może? Może najwyższy czas na emeryturę? Może ja już po prostu nie nadążam?

„Jeżeli w pierwszym akcie wisi na ścianie strzelba, to w ostatnim musi wypalić”. Anton Czechow.

- Panie Schultz?

- Khe. Wry wieczór. Panu.

- Najlepsy. Wie pan, mam dzisiaj urodziny.

Kiwnął głową. Nie był nieuprzejmy, trzeba przyznać; wyczuwałem wyraźnie, że ani trochę go to nie interesuje. Gdybym nie był diabłem, również bym to wyczuł. Bezsensowność tego dialogu też go nie interesowała. Nic go nie interesowało. Ale on o tym nie wiedział.

- Czy z tej okazji... Nie musiałem kończyć zdania, wystarczyło, że rozchyliłem poły marynarki i nagle pan Zbigniew, mąż Ireny, ojciec Grzegorza i Michała, który przyszedł na świat w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym, a miał umrzeć w dwa tysiące osiemnastym, okazał przelotne, płytkie, zgaszone, ale jednak autentyczne zainteresowanie.

- Pna. Zdrowie. Panie...

- Krzysztof.

A bzdura, oczywiście nie mam na imię Krzysztof, jak świat stary i głupi, nikt jeszcze nie słyszał o diable, który nosiłby imię Krzysztof. Mogłem wymyślić coś prostszego. Ciekawe, czy zrobiłem to ze złośliwości? Oczywiście pan Schultz nie był w stanie powtórzyć imienia „Krzysztof”.

- Panie. – powiedział zamiast tego, i łyknął, aż się ławka zatrzęsała.

- Jest sprawa, wie pan.

- Nie mam... hyk! Piniendzy.

- Ależ nie, nie chodzi o pieniądze. Ani o pana podpis. Ani o duszę.

Popatrzył na mnie zadziwiająco trzeźwo i odparł:

- Duszę bym pan...u dał. Do niszego sie ni nadae.

Zdziwiłbyś się, człowieku.

- Ach, nie. Widzi pan, zgubiłem klucze do klatki, i...

- Daj spokój.

Zupełnie trzeźwo. Oczywiście. Że też dałem się na to nabrać. Bo to ja jeden jestem w posiadaniu zmieniającego lusterka...

Mój kolega, który teraz, zupełnie trzeźwy, siedział na ławce zamiast pana Zbysia, wyglądał jak... Gej. Mi-li Państwo, nie jest moją wolą urażenie kogokolwiek, stwierdzam jednak, iż mój kolega Azalio, niebędący w żadnym stopniu panem Zbysiem, siedział noga na nodze, na nodze zaś spodnie wąskie, spodnie zaś zielone, koszula wyprasowana, rozpięta zaś o wiele za nisko, włosy z przodu długie zaczesane, z boku zaś krótkie wygolone, na nosie okulary wielgachne, oprawki zaś czarne, wszystko zaś bez sensu, bo doskonale wiedziałem, że Azalio nie jest gejem. Nie był gejem tak bardzo, jak jego czoło nie było przyszczone. Swoją drogą, interesujące, że ostatnimi czasy widywałem na ulicach coraz więcej mężczyzn, o których sądziłem, że są gejami, a czytałem z fal, które wytwarzali, iż zdecydowanie nimi nie byli.

Azalio pokiwał głową, jakby czytał mi w myślach. Diabeł człowiekowi w myślach czytać może, diabeł diabłu – nie. Jak świat stary i głupi, nikt jeszcze nie widział diabła, który mógłby innemu diabłu czytać w myślach.

- Przyszedłem interweniować – Azalio do mnie.

- Dlaczego?

- Kolego, po pierwsze, złamałeś kilka zasad. Sam fakt, że ze mną rozmawiasz, jest na to dowodem. Żadnych alkoholików, pamiętasz? Wiem też, dokąd chciałeś się wybrać. Znam tego chłopca. Nic z tego nie będzie.

- Słucham?

- To ty słuchaj – westchnął Azalio, sprawdzając jednocześnie, czy aby na pewno ma równo przycięte paznokcie. – Nie nadążasz z duchem czasu. Po pierwsze, nie jesteś w stanie tego chłopca wystraszyć. Nie zrobisz mu nic, czego on nie robi sobie sam.

Musiałem rzucić pytające spojrzenie, gdyż westchnął ponownie, jeszcze ciężiej.

- Jak byś się nie ucharakteryzował, on widział to już w horrorze. Jakich okropieństw byś mu nie pokazał, sam je uczynił w Call of Duty 4. Jakim byś piekłem nie postraszył, nazajutrz znajdzie w internecie filmik, w którym się z takiego wyśmiewają. Poza tym... Pamiętasz, rozmawialiśmy o tym sto lat temu, kiedy nauka będąca podstawą tej naszej kryjówki była jeszcze młoda. Pamiętasz? Co jest najlepsze dla diabła, jeśli robi się za gorąco nawet dla niego? Co trzeba zrobić, żeby uciec? Żeby dzieciak przestał wierzyć, choćby widział na własne oczy? Żeby sobie wytłumaczył, żył i był bezpieczny? Żeby dzieciak nie wierzył, egzorcysta nie uderzył, kto z mlekiem diabła zbełta, pamiętasz? Kto może zrobić takie z dupy, przepraszam, wzięte wariactwo i to tak, żeby działało? Odpowiedzieliśmy jednogłośnie:

- Psychoterapeuta. Zaśmialiśmy się, ale krótko. Cóż, Mili Państwo, obaj czuliśmy, że nie jest nam do śmiechu. Azalio wyciągnął zaś... Długopis. Włożył go do ust. Ku mojemu przerażeniu jednocześnie zaczął puszczać dym, ale nie tytoniowy, tylko pachnący... Mango?

- No więc to zupełnie obróciło się przeciwko nam. Jak wszystko w cholernej psychologii. Kurwa, wiedziałem, że pieprzona psychologia to nas kurwa zabije.

- Nie klnij tyle.

- Czemu? Wszyscy klną. Nie nadążasz, stary. Daj sobie spokój. Zaczynj pisać limeryki. Albo co. Widzisz, jak sobie radzą? Bez nas? W ogóle nie jesteśmy, kurwa, potrzebni.

Aż pożałowałem, że nie umiem się upić.

- A ty? Ja jestem staromodny, a ty? Co robisz?

Azalio zaczął się śmiać, tylko teraz, Mili Państwo, na poważnie.

- Wiesz, internet to był jednak dobry wynalazek. Wszystkie papierowe umowy czytają, owszem. Ale te w internecie? Regulaminy? „Akceptuj”, „Rozumiem”, „Tak, mam ukończone 18 lat”. Włamuję się do plików z regulaminami i robię dopisek o zaprzędaniu duszy diabłu w zamian za usługi.

Jakoś mnie to nie dziwi. Powinienem pomyśleć o internecie. Ale... Do diabła, na kilku nockach widziałem, co ludzie tam wyczyniają, i przysięgam, że połowa tego mnie brzydzi, a drugiej połowy nie rozumiem.

Azalio poklepał mnie po ramieniu i zaczął – widziałem – zbierać się do odejścia.

- Wyciągnij z tego wniosek. Jakie czasy... – efektowna pauza – taki diabeł.

I poszedł, dalej ciągnąc z tego swojego długopisu. Przyszło mi do głowy, że wyciągnąłem inny wniosek, którego zresztą zaraz chciałem się pozbyć, bo wydał mi się tak idiotyczny, iż fala wstydu ogarnęła mnie

od kapelusza po podeszwy. Ech, żeby diabeł? Takie rzeczy? Cóż, przyznać się wypada, skoro już się pomyślało; zdaje mi się, iż wspominałem, że mechanizmów nie posiadam.

Każde diabelstwo kiedyś się kończy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

DragonLady, dodano 21.02.2016 09:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.